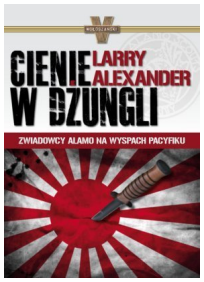

Informacje o książce
Pełny tytuł: Cienie w dżungli. Zwiadowcy Alamo na wyspach Pacyfiku
Autor: Larry Alexander
Tłumaczenie: Joanna Przyjemska
Wydawca: Wyd. Wołoszański
Rok wydania: 2010
Stron: 424
Wymiary: 23,6 x 16,5 x 3,2 cm
Okładka: miękka
ISBN: 9788389344816

Recenzja
Jako pasjonat wojskowości kupuję olbrzymie ilości literatury związanej z tym zagadnieniem. Historia i historia wojskowości oraz militaria pochłaniają zauważalną część domowego budżetu, co jak w każdym tradycyjnym małżeństwie, stanowi przedmiot irytacji dobrej Żony, która z zasady bardziej dba o domowe ognisko niż Mąż. Moja Małżonka nie stanowi wyjątku z troską w oczach zarzucając mi, że kupując, kupuję jak wariat. Jednak to nie prawda. Zakupy moje są zawsze przemyślane i wykalkulowane, a selekcja tytułów tym uważniejsza im bardziej rozrasta się domowa biblioteka, bo przecież miejsca do przechowywania książek jest coraz mniej.

Jeśli wojskowość jako taka wywołuje u mnie dreszczyk emocji, to literatura związana z Dalekowschodnim Teatrem Działań przyprawia mnie o drżenie ud. Specjalizując się w Wojnie w Azji i na Pacyfiku gromadzę tytuły z całego świata: anglojęzyczne, francuskie i japońskie. Dlatego, gdy z początkiem 2009 r. zauważyłem zapowiedź książki Larry'ego Alexandra poświęconej mało znanej jednostce o nazwie Alamo Scout, po namyśle złożyłem w Stanach zamówienie. Dlaczego po namyśle? Z jednej strony kusiła mnie chęć nabycia zwartej publikacji na temat formacji do zadań specjalnych, która nawet w USA nie jest specjalnie znana. Z drugiej jednak strony miałem już za sobą lekturę jednej książki autorstwa Alexandra i niezbyt wysokie zdanie o talencie pisarskim autora. Mowa o jego Biggest Brother: The Life Of Major Dick Winters, The Man Who Led The Band of Brothers
(polskie wydanie:
NAJWIĘKSZY BRAT - Życie majora Dicka Wintersa, dowódcy „kompanii braci”
– nakładem wydawnictwa MAGNUM z 2006 r.). Książka mnie najzwyczajniej „zmęczyła” i

zachodziłem w głowę jak to możliwe, że Larry'ego Alexandra za serię artykułów, której był współautorem, przedstawiono w 2005 roku do nagrody Pulitzera. Wówczas byłem jednak świeżo po lekturze dwóch innych publikacji poświęconych kompanii E 506 pułku ze 101. Dywizji Spadochronowej. Obie napisane świetnym językiem mogły nieco zdystansować biografię Wintersa pióra Alexandra i zapewne za bardzo wyostrzyły mój apetyt. Mowa o Kompanii braci
Stephena Ambrose'a i kapitalnie napisanej
Kompanii spadochronowej
Davida Webstera.

Ostatecznie jednak pokusa okazała się zbyt duża. Nowość autorstwa Alexandra o marketingowo nośnym tytule Shadows in the Jungle nabyłem, po czym w weekendowy wieczór pogrążyłem się w lekturze. Niestety miało miejsce kolejne rozczarowanie. Książkę napisano bez polotu, chwilami chaotycznie, a fakty w niej podawane niejednokrotnie rozmijały się z rzeczywistością. Moje rozczarowanie tylko w niewielkim stopniu łagodził fakt, że byłem posiadaczem egzemplarza autorskiego z dedykacją autora. 25 dolarów ceny książki nie stanowiło kwoty wyrzuconej w błoto, ale o formacji Alamo Scout wiedziałem paradoksalnie tylko niewiele więcej niż przed lekturą Cien
i w dżungli
. Sam tytuł uznałem za przeciętny. Trafił on na półki domowej biblioteczki i co znamienne przez cały rok ani razu doń nie wróciłem, jak to mam w zwyczaju celem sprawdzenia jakichś danych czy posiłkowania się faktami.

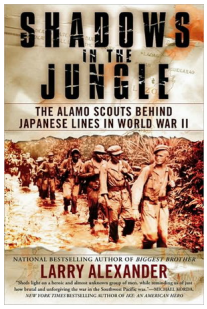

Książka przypomniała jednak o sobie sama jakieś dwa miesiące temu, gdy w internetowych zapowiedziach zauważyłem, iż wyzwanie jej publikacji na polskim rynku wydawniczym przyjęło na siebie Wydawnictwo Wołoszański. Z jednej strony wybór taki wydawał się być zrozumiały.

Dopiero co polski widz spragniony kina wojennego mógł się delektować ciekawym skądinąd serialem Pacyfik, wyemitowanym przez HBO (dostępnym jak dotąd tylko dla posiadaczy kablówek z tym kanałem lub zdeterminowanych obejrzeć serial internautów). Jak się wydaje serial nawet w przybliżeniu nie zyskał takiej popularności jak jego wcześniejszy filmowy „brat-bliźniak" – serialowy hit Kompania braci, wyprodukowany przez udany duet marki Spielberg-Hanks. Niemniej grono sympatyków wojny na Pacyfiku wzrosło w Polsce na tyle zauważalnie, że co najmniej cztery wydawnictwa poczuły wiatr w żaglach rzucając na rynek nowe (i odgrzewane, ale ze zmienionymi tytułami) publikacje poświęcone lądowym aspektom walk japońsko-amerykańskich). Wydawnictwo Wołoszański, co zrozumiałe, musiało się znaleźć wśród tej czwórki i wydaje się, że było to posunięcie w zamierzeniu czysto marketingowe.

Z drugiej strony wybór tego właśnie tytułu nieco zastanawiał. Prawdą jest, że profil akcji specjalnych i jednostek elitarnych wpisywał się w ulubioną tematykę Wydawnictwa Wołoszański. Jednak Alamo Scouts, jako formacja niemająca na swoim koncie zbyt wielu spektakularnych akcji czy szczególnie wybitnych osiągnięć (o czym jeszcze za chwilę – wiem, że książka kreuje ten aspekt inaczej), utworzona ponadto w celu przeprowadzania zwiadu, której żołnierze z założenia mieli unikać walki, średnio nadawała się na temat porywającej opowieści. Na przestrzeni tylko ostatnich pięciu lat Amerykanie wydali kilka tuzinów dobrze napisanych książek poświęconych jednostkom raidersów czy paramarines walczących na Pacyfiku. Jeśli koniecznie chciało się wydać tytuł związany z jednostkami elitarnymi i dalekowschodnim Teatrem Działań, wydaje się, że to raczej raidersi, a nie zwiadowcy Alamo powinni przykuć uwagę polskiego wydawcy. Udziałem raidersów były wydarzenia, których nie wymyśliłby reżyser kina akcji o najbardziej nawet twórczym talencie. Uczestniczyli w wielodniowych, morderczych bojach, przeprowadzali wielomiesięczne rajdy na zapleczu wroga, pod ogniem desantowali z morza na umocnione pozycje. Raidersi mieli, inaczej niż Alamo Scouts, za wroga żołnierza liniowego, a nie wartownika obozu, zaopatrzeniowca ze spowolnionym refleksem czy gościa z formacji tyłowych, którym wbrew temu co zapodaje się w książce był częściej Koreańczyk, a nie Japończyk. W zabitych i rannych tracili niejednokrotnie 30-40% stanu osobowego, gdy tymczasem w szeregach Alamo Scouts nie znalazł się ani jeden poległy. I nie był to do końca przypadek, łut szczęścia czy wynik świetnego wyszkolenia zwiadowców.

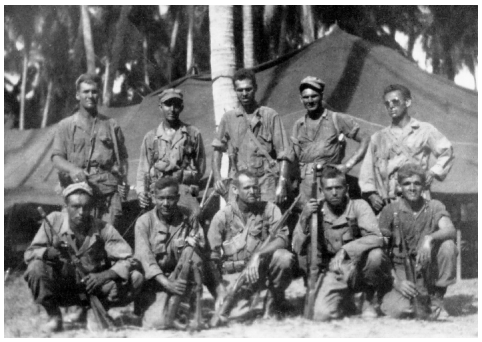

Alamo Scouts po rajdzie na Cabanatuan

Tyle tytułem mojego widzimisie, z którym oczywiście można się w całej rozciągłości nie zgadzać.

Wydaje się, że Larry Alexander świadom powyższych „braków" nieco podkoloryzował swoją opowieść o zwiadowcach Alamo. Czytelnik powinien zwrócić uwagę na fakt, że znaczna część książki poświęconej w końcu Alamo Scouts opisuje akcje, w których paradoksalnie nie brali udziału (Los Banos w lutym 1945 r.), lub brali udział marginalny (Cabanatuan w styczniu 1945 r.). W książce autor operuje także obiegowymi, a niepotwierdzonymi danymi wyolbrzymiającymi straty zadane Japończykom przez zwiadowców (ok. 500 zabitych, ponad 60 jeńców), które bardziej pasują do Wikipedii, a nie rzetelnej pracy. Jeden z najlepszych specjalistów od armii amerykańskiej z walk na Pacyfiku, Gordon Rottman przytacza inne liczby oparte na potwierdzonych raportach i konsultacjach ze stroną japońską: 84 zabitych, 24 pochwyconych, z których po dokonanych przesłuchaniach 21 zidentyfikowano jako Koreańczyków i Formozan (Tajwańczyków) (przykładowo więcej o tym w US Special Warfare Units in the Pacific Theater 1941-45
tegoż autora, str 45).

Na stronach Cieni dżungli nie brak też innych manipulacji, z których, żeby nie przedłużać (w końcu ma to być recenzja, a nie akademicki elaborat) wymienię 2-3 reprezentatywne dla całości. Wspomina się, że wyspy Guam Amerykanie bronili z użyciem
broni jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej
co sugeruje czytelnikowi powód łatwego zdobycia wyspy przez Japończyków. Tymczasem broni z takiego okresu używano po prostu w całym Korpusie Marines aż do początku 1943 r. i z użyciem takiego oręża pogonili z powodzeniem Japończyków z Tulagi czy Guadalcanal. Siły jakimi dysponuje do obrony Filipin MacArthur to:
25-30 tysięcy regularnych amerykańskich i filipińskich żołnierzy oraz 100 tysięcy filipińskich rekrutów, zupełnie surowych pod względem przygotowania wojskowego, których atakują (…) hordy Japończyków
.

Alamo Scouts na Los Negros

Wiemy, jeśli nie my, to na pewno poważny badacz tamtych wydarzeń, że filipińscy rekruci, o których mowa, w grudniu 1941 r. mieli za sobą w większości 6-8 miesięczną służbę czynną. Jeśli komuś wydaje się to mało, warto przypomnieć, że 95% stanu osobowego 1. Dywizji marines desantującej w sierpniu 1942 r. na Guadalcanal miało za sobą identyczny pod względem czasowym etap szkoleniowy, co nie przeszkodziło im w efektywnym prowadzeniu walki. I jeśli rzeczywiście regularnego żołnierza do obrony Filipin MacArthur zdaniem Alexandra miał 25-30 tysięcy, to jak wyjaśnić fakt, że wg oficjalnych i potwierdzonych amerykańskich raportów US Army i Marine Corps straciły na Filipinach w 1942 r. 31 tysięcy liniowych żołnierzy, a armia filipińska 36 tysięcy przedwojennych żołnierzy zawodowych. Na stronie 76, gdy Alexander opisuje proces szkoleniowy Alamo Scouts, wśród technik obronnych wymienia karate. Tymczasem wiemy, że karate, podobnie jak taekwondo Amerykanie (podobnie jak i reszta świata) poznali nie wcześniej niż na początku lat 50-tych, a więc już po II Wojnie dzięki Jankesom stacjonującym na Okinawie czy w Korei. Zwiadowców Alamo szkolono intensywnie w technikach walki wręcz, ale były to przede wszystkim judo, jujitsu, boks i zapasy. Podobnych pomyłek oraz zamierzonych lub przypadkowych przeinaczeń, pozornie drobnych, jednak zafałszowujących fakty występuje w książce całe mnóstwo, co może przeszkadzać w odbiorze treści zwłaszcza czytelnikowi zorientowanemu w temacie.

To, że autor je popełnił to jedna sprawa a to, że wydawnictwo nie zatrudniło konsultanta, który

by je wychwycił i opatrzył stosownymi przypisami – to już co innego. Konsultant/redaktor merytoryczny jest, jednak Jego wiedzę prezentowaną w przypisach należało by uznać zaledwie za podstawową. Po raz drugi pozwolę sobie na zobrazowanie całości poprzez 2-3 przykłady: na stronie 64 autor przypisu podaje jednoznacznie, że oddziały UDT (nurkowie rozpoznający atakowany brzeg i wyburzający ewentualne przeszkody) walczące na wyspach Pacyfiku powołano do życia w oparciu o żołnierzy biorących udział w lądowaniu w Normandii. Tymczasem UDT przeprowadzały duże akcje bojowe z udziałem 30-50 osobowych zespołów już w lutym 1944 r. (bojowy debiut to desant na Roi-Namur). Przypomnę, że Normandia to czerwiec 1944 r. Po zdobyciu Wysp Marshalla 40 specjalistów z UDT odesłano w marcu 1944 r. do W. Brytanii, aby przekazali doświadczenia nabyte w ogniu walki kolegom przygotowującym inwazję w Normandii. Można więc stwierdzić, że było dokładnie odwrotnie niż podaje konsultant. Wspominanie też, że dzięki ich działaniom udał się desant na Okinawę jest zupełnie chybione zważywszy, iż jak wiemy sektory desantu na tej wyspie Amerykanie rozpoznali całkiem błędnie. Stwierdzono bowiem, że plaże są silnie bronione, a na brzegu ufortyfikowało się mnóstwo japońskiego wojska co nie było prawdą. W konsekwencji 1 kwietnia 1945 r. władowano w linię brzegową tysiące ton bomb lotniczych, rakiet i pocisków artylerii okrętowej nie zabijając nawet 1 Japończyka, ale marnując krocie z pieniędzy wyłożonych przez podatników. Nieprawdą jest też podawane w przypisach, że na Tarawie duże straty powstały na skutek ugrzęźnięcia łodzi desantowych i amtraków na rafach
. Łodzie utknęły, ale ani jednego amtraka nie zatrzymały rafy, gdyż ich konstrukcja umożliwiła ich bezproblemowe pokonanie. Również stwierdzenie, że amtrak powstał na bazie elementów podwozia czołgu M3 nie znajduje pokrycia w faktach. Amfibie tego typu zatwierdzono do produkcji wiosną 1935 r. i od tego czasu, aż do końca wojny ich podwozia mimo kosmetycznych modyfikacji nie poddano większym zmianom konstrukcyjnym. Natomiast czołgi M3 (konsultant nie precyzuje czy chodzi o lekkiego
Stuarta
, czy średniego
Lee
) zatwierdzono do produkcji odpowiednio w lipcu i sierpniu 1940 r.

Obrazu dopełnia nierzetelny przekład z języka angielskiego zaprezentowany w książce. Tłumaczka, inaczej niż w oryginale informuje nas (znów 2-3 przykłady obrazujące całość), że U SS Yorktown
został w bitwie na Morzu Koralowym zniszczony – str. 62 (w oryginale

damaged
). Możemy też przeczytać, że jedyną zbrodnią Yamashity (w kontekście powojennej egzekucji tego ostatniego) było zwycięstwo nad MacArthurem. Tymczasem Yamashita walczył w 1942 r. na Malajach szturmując Singapur, a nie Filipiny, a w 1945 r. żadnego zwycięstwa nad Amerykanami nie odniósł, choć bronił się umiejętnie – str. 404 (w oryginale –
committed was defeating
). Sytuacja nie jest tak dramatyczna jak na przykład w przekładach wydawnictwa Bellony (legendarny już passus o Amerykanach spożywających rzekomo na święto Dziękczynienia nie indyka, a pawia). W pamięci mam jednak zakodowany apel pana Wołoszańskiego emitowany przed laty w mediach, w którym poucza On i dyscyplinuje innych autorów/wydawców za brak rzetelności, co nie pozwala mi wyżej opisanych wpadek traktować z przymrużeniem oka. Chyba, że inne normy oceny przyjmujemy względem siebie, a inne względem innych.

Wszystkie powyższe mankamenty nie przeszkadzałyby może tak bardzo w odbiorze treści, gdyby pióro autora wzniosło się na wyżyny literackiego kunsztu. Gdy czytamy prace Ambrose'a, Ricka Atkinsona czy pamiętniki Davida Webstera, w tle słychać szczęk ekwipunku, krzyki wydawanych komend i trzask opróżnianych magazynków z karabinów Garand. U Alexandra niestety tego nie ma. Jest przekaz przetykany relacjami opowiedzianymi przeciętnie, bez werwy i polotu, który, w moim odczuciu, nie porywa czytelnika w świat wyobraźni, nie przenosi go w interior oceanicznych wysepek, trawy kunaj i klimatu pacyficznego teatru działań.

Książkę opatrzono 10-stronicowym indeksem hasłowym ułatwiającym szybkie wyszukiwanie w tekście oraz raczej ubogą, bo zawierającą 7 tytułów bibliografią – zgodną z angielskim oryginałem. Choć autor zaznaczył, że jest to wybrana bibliografia, ja oczekiwałbym po rzetelnym twórcy jej rozbudowanej formy, która to forma pozwoliłaby mi wyszukać inne, ciekawe tytuły na rzeczony temat.

Polski wydawca zdecydował się na wersję w miękkiej obwolucie (przynajmniej na razie dostępna jest tylko taka) oraz na własną wersję graficzną okładki, w moim odczuciu mniej estetyczną niż oryginał. W oryginale wydanym w sztywnej oprawie i z nakładaną dodatkową okładką miękką zgrupowano materiał fotograficzny liczący 23 zdjęcia w jednej wkładce wykonanej z papieru kredowego, dzięki czemu jakość fotografii pozostała na wysokim

poziomie. W polskim odpowiedniku zdecydowano się na inną opcję, reprodukując zdjęcia bezpośrednio w tekście co niestety przy papierze słabej jakości dało średni efekt, czyniąc fotografie mniej czytelnymi. Dodano za to kilkanaście zdjęć, których nie mamy w amerykańskim wydaniu, przedstawiających podstawowe typy broni, w jakie uzbrojeni byli Alamo Scouts.

W 16 rozdziałach przedstawiono genezę powstania jednostki, rekrutację, kryteria i proces szkolenia, a następnie wybrane akcje zwiadowcze, ratunkowe i sabotażowe.

Publikację zamyka krótkie zestawienie składów poszczególnych zespołów Alamo Scouts. Cena książki oscyluje w granicach 40-45 PLN. Niestety, na ponad 400-stronicową publikację mamy tylko trzy mapki (zgodnie z oryginałem), na których nie uznano za stosowne podać ich skali (w oryginale jest).

Reasumując, dostajemy do rąk nową publikację, która przy wszystkich wyżej wymienionych mankamentach posiada jednak co najmniej dwa plusy. Pierwszy stanowi fakt, że literatura w języku polskim z zakresu walk lądowych w wojnie w Azji i na Pacyfiku jest równie śladowa co kręgosłup moralny naszych polityków, przez co należy się cieszyć z każdej nowej pozycji w tym temacie, nawet gdy prezentuje przeciętny poziom. Za drugi uważać należy okoliczność, iż książkę poświęcono formacji mało znanej, co wypełnia pewną lukę, nawet wówczas, jeśli kończąc ostatnią stronę czujemy pewien niedosyt.

Autor: Jarosław Jabłoński
Zdjęcia: Jarosław Jabłoński

Opublikowano 19.01.2011 r.